

PIES I JA



Opowieść
o szukaniu
sensu życia



KATE SPICER



KATE SPICER

PIES
I JA

PRZEŁOŻYŁA

Ischim Odorowicz-Śliwa



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Lost dog

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Two Associates

Opracowanie graficzne okładki: designpartners.pl

Zdjęcie na okładce: © Gerrard Gethings

DTP: Maciej Grycz

Lost Dog

Copyright © 2019 by Kate Spicer

All rights reserved.

Copyright © 2021 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiecte Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Ischim Odorowicz-Śliwa, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN 978-83-66815-97-1



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiecte

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Wcześniej

Zegar dwanaście razy wyszczekuje godzinę i zaczyna się dzień, w którym postanawiam kupić psa. Patrzę na zegar mojego 딜era. Na tarczy zamiast cyfr są ulubieńcy z programów telewizyjnych. Oznajmianie północy przypada Lassie.

Co to, do cholery, tam robi?

Sercem mieszkania Tima nie jest kominek, kuchnia ani nawet telewizor, tylko duży stół kawowy z marmuru i szkła, który musiał być szykowny w latach osiemdziesiątych, kiedy Tim był młodym bywalcem popularnych miejscówek. Teraz to u niego bywają inni i pochyleni nad tym monstrum z minionej epoki przez zwinięte banknoty wciągają kokainę prosto do układu oddechowego, skąd przez błony śluzowe trafia do krwiobiegu, krąży po całym ciele i wreszcie dociera do mózgu. I bum, następuje nagły przyływ dopaminy. Przepyszna dopamina to narkotyk szczęścia produkowany przez nasze ciało. Jeśli tylko pojawi się w wystarczającej ilości, sprawia, że czujesz się wspaniale nawet wtedy, gdy masz wisielczy nastrój.

W tym stanie czas zlatuje szybko. Co godzinę echa z czasów mojej niewinności wykrzykują, że minęło go jeszcze więcej. Ko-

lejna część mojego życia zmarnowana. Wydaje się, że Lassie dopiero co wyszczekała ostrzeżenie, że wszyscy powinni być w łóżkach, a tu już Bagpuss zaczyna usypiająco ziewać. Jest pierwsza w nocy. Dzieci powinny już spać. Ale nie goście Tima, oni są rozgadani, perwersyjni, napaleni, ożywieni; krzyczą, wyznają najprawdziwsze mroczne myśli, kłócą się i wytykają palcami, jeden wykonuje biodrami sztywny, nieseksowny taniec erotyczny; tworzą więzi na całe życie i zostają starymi przyjaciółmi – to jest do czasu, gdy drągi przestaną działać i cała ta wesołość uleci, a jej miejsce zajmie paląca, parszywa, desperacka potrzeba kolejnej działki. Wtedy nikt nie będzie twoim przyjacielem, oprócz Tima. Starego dobrego Timba.

Tim nie jest dilerem, nie w ścisłym tego słowa znaczeniu; początkowo niezwykle hojnie częstował drobno zmieloną śnieżnobiałą koką wypełniającą tupperware'owe pudełko. To nie był marny pył za trzydzieści funtów. Gram wybornego śniegu Tima chodził po sto trzydzieści. Stąd Tim przyciągał do siebie „porządniejszych” ćpunów, jeśli tacy w ogóle istnieją. Koniec końców mówił jednak „nie”, a wtedy zaczynało mu się płacić.

Pod zegarem, którego mała wskazówka pokazuje teraz Mr. T, siedzi dwóch łamiących prawo bankierów. Jeden z nich jest uważany za geniusza w swojej dziedzinie, drugi to co prawda przeciętniejszy finansowy talent, za to znacznie przystojniejszy. Przynajmniej jeśli leci się na facetów w eleganckich garniturkach i z przylizanymi włosami. Ryczą na temat LIBOR-u i skomplikowanych transakcji finansowych. Nazwijmy ich więc Liborami.

Jest tu jeszcze jedna kobieta, młoda z długimi i chudymi nogami, w skórzanych spodenkach udających pumpy i misternym podkoszulku bez rękawków, który odsłania boki jej ślicznych malutkich cycków. Jest dziewczyną tego bystrego bankiera, cho-

ciaż on przez całą noc ani razu nie zwrócił na nią uwagi. Nazwijmy ją Chica. Tim dzieli uwagę między dziewczyny i bankierów. Pochłania go nawijka Chiki o jej influencerskich ambicjach. To w sumie dobrze, bo ona nie daje nikomu wtrącić ani słowa. Na razie wydaje się, że wszyscy doskonale się dogadujemy, ale jestem wystarczająco doświadczona, by wiedzieć, że to dragi mówią i słuchają; mam tyle lat, że mogłabym być jej matką, a Tim – niech cię nie zwiodą jego czarne jak atrament włosy – dziadkiem. Rano nie będziemy mieć ze sobą nic wspólnego.

Siedzę z przechyloną głową, by sugerować, że zamieniłam się w słuch, chociaż wcale tak nie jest. Korzystam tylko ze znieczulającej ucieczki przed poczuciem nieokreślonego dyskomfortu, które towarzyszy mi całe dorosłe życie, chyba że jestem pod wpływem jednego ze wspaniałe odrętwiających czynników: dragów, sportu, gorzały, miłości albo pracy. Moje otępiacze zmieniały się przez te wszystkie lata, ale ostatecznie zawsze ląduję z powrotem tutaj.

Popielniczka się przepęlnia, a co godzinę przez mrok przedziera się kolejny chwytliwy slogan z czasów dzieciństwa. W całym mieszkaniu jest ciemno, wyjątek stanowi ten stolik kawowy, oświetlany sufitową lampą i naszą żywą uwagą.

Przed czwartą mój nastrój zaczyna się gwałtownie pogarszać, kulę się w sobie i zapadam w milczenie. Słowa, które udało mi się wcisnąć w egocentryczny monolog Chiki, zamierają. Kończy mi się paliwo.

Potrzebuję więcej. Dragów.

Rozlega się szmerzące skrzypienie skóry martwego zwierzęcia o zachwycającą skórę Chiki, gdy jej nogi przesuwają się na starą białą skórzaną kanapę godną międzynarodowego playboya. Dźwięk ten kojarzy mi się z facetami, którzy przystawiają się do

dziewczyn w starych samochodach. Czas naprawdę zapomniał o tym miejscu. Zwłaszcza czas pory dziennej. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zasłony były tu rozsunięte. Unoszę wzrok. Ten pieprzony zegar naprawdę tu nie pasuje. Powinien wisieć w bawialni albo w radosnej rodzinnej kuchni, takiej skąpanej w świetle słońca i tłustych plamach po krakersach.

Z gigantycznej wieży stereo z ogromnymi pokrętłami leci Phil Collins. Tim ma dragi, a tam, gdzie dragi, zwykle znajduje się ktoś chętny na seks, jednak Tim zawsze miał problemy z tą częścią równania. Teraz siedzi skupiony na Chice, która właśnie omawia monetyzowanie swojego instagramowego konta, a także reklamodawców i marki mające płacić jej za kontent.

– Jestem pewny, że mężczyzn też mogłabyś nim przyciągnąć...

Powoli wraca mój cynizm. Kiedyś widok tych młodszych kobiet sprowadzanych na złą drogę przez Timów tego świata – starszych facetów z drogimi narkotykami – smucił mnie i godził w moje feministyczne zasady. Teraz tylko wzruszam ramionami. Pospolita zguba fuksiarzy już mnie nie rusza. Francuski pisarz Huysmans powiedział: „Serce mam już skamieniałe, osmałiło się w rozpuście”^{*} – to podsumowuje całą sytuację lepiej ode mnie. Przyzwoite dziewczyny przenoszą się do Londynu, przyzwoite dziewczyny zostają zdeprawowane – i to raczej chętnie, z tego, co pamiętam z własnego prędkiego upadku. Wiem, że to ma być tragedia świadcząca o nierówności płci, ale dla mnie jest zwykłym banałem.

Chica, wciągająca kreski jak zawodowiec i wprowadzająca nas w swoje plany na olśniewające życie, jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Teatralnym gestem unosi nad nasze głowy telefon.

* J.-K. Huysmans, *W drodze*, tłum. Z. Milewska, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1960 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

– Selfie!

Nie, nie, nie. Nie ma mowy. Już widzę te zapadnięte oczodoły. Brak skupienia w spojrzeniu, skórę pozbawioną życia o piątę nad ranem, siwe odrosty i niewyraźną linię zuchwy. Zasłaniam twarz rękami.

– Daj spokój! Nie wierzę, że jesteś w tym samym wieku co moja mama – stwierdza podekscytowana.

– Nie! – rzucam tonem, którego użyłabym do powstrzymania psa przed kradzieżą kotleta.

Ona nadal wygląda nieskazitelnie. Jej gładka skóra ma strukturę satyny, ciało jest smukłe i swobodne, włosy wciąż cudownie odzwierciedlają jej naturalną nadzieję na złotą przyszłość. Osadzone na świetlistej zroszonej twarzy piękne oczy z zaledwie sugestią niebieskiego cienia na dolnych powiekach wpatrują się uważnie i przelotnie zdradzają, że ją zraniłam.

– Ojej, dlaczego nie?

– Bo jeśli nawet jakimś cudem wyglądam okej, to i tak naprawdę nie lubię selfie. Są narcystyczne, desperackie i żenujące.

– Ale mam taki zarąbisty filtr – mówi i zaczyna gładzić ekran, scrollując. Informuje mnie, ile selfie dziennie musi zamieścić w sieci jako influencerka.

– Nie wydaje mi się, żeby to było coś, co w jakikolwiek sposób powinno się dokumentować. Siebie pstrykaj, ale mnie w to nie wciągaj.

Tim oferuje, że zrobi jej zdjęcie, więc Chica odchyła się na jego głupiej białej sofie i robi coś fajnego z nogami. Dziwacznie wydyma wargi, a on pstryka. Prawdziwy David Bailey. Blech. Układa jej włosy. Oto historia zasługująca na hashtag #seksizm-codzienny. Mój wspaniały koleżka Timbo, falliczne seksualne utrapienie z wielgachnym workiem koki. Co cię na początku

pociągało w tym zboczonym Timie w średnim wieku, z podejrzenie zbyt czarnymi włosami i śniadaniówką pełną najdroższych dragów w Londynie?

Ten bystrzejszy, mniej przystojny Libor nadal ma na sobie służbowe ubranie, ale ściągnął krawat i rozpiął dwa górne guziki koszuli. Przyлизane włosy opadają mu po obu stronach ziemistej twarzy. Wrzeszczy do Tima ponad oprószonym ołtarzem, że – wbrew pozorom – „Wiesz, tak naprawdę to jestem anarchista. Potrzebna nam społeczna rewolucja...”.

Chwilę zajmuje mi przerwanie mu, żeby zadać rozsądne pytanie.

– Mogę tylko coś powiedzieć? – pytam natarczywie. Unosi dłoń. To, co on ma do powiedzenia, jest równie nagłące, jak nigdy się niekończące. – NIE, czy mogę tylko... – W końcu mówię pospiesznie: – To skoro z ciebie taki anarchista i socjalista, dlaczego jesteś bankowcem? – Niestety moje gardło jest jak papier i ostatnie słowa to słabe chrapliwe warknięcie.

– To nie zawód definiuje człowieka, tylko wpływ jego czynów – oznajmia, a potem zwraca się do biesiadników zebranych przy stoliku: – No owszem, zapewne to się ze sobą kłóci, ale purytańskie podejście do tych kwestii zazwyczaj tylko jeszcze bardziej hamuje progres.

Bezwzględny, rozgarnięty, uprzywilejowany i... w nosowej rozsypcy, garniak z niego spada, w obu kącikach ust ma pianę zaschniętą w kształcie małych literek „v”, która pasuje do skurupy pudru wokół jego ulubionego nozdrza, teraz wyglądającego na podrażnione. Powiedziałabym, że bankowość mu nie służy.

Potrzebuję wina, myślę sobie, i ruszam w stronę lodówki pełnej zimnego chablis z Waitrose’a. Mmmm, wino. Już sama myśl o nim rozjaśnia moje egzystencjalne przygnębienie.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A
15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059